**Do niniejszego n-ru dołącza się bezpłatny dodatek „BŁYSKÓW" nr. 10**

Cena 60 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

# WOLNOMYŚLICIEL POLSKI



DZIESIĘCIODNIOWIEC

**ROK 7 WARSZAWA — 1934 — 1 SIERPNIA NUMER 25**

**REDAGUJE KOMITET**



## Powódź, powodzianie i jubileuszowa jałmużna

Skutkiem kilkudniowych ulewnych deszczów, jakie spadły w górach, nawiedziła południowo-zachodnią połać naszego kraju olbrzymia klęska powodzi, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają. Wezbrane wody górskich potoków, strumieni i rzek, pędząc z zawrotną szybkością, zalały niżej położone miasteczka, wsie i pola, unosząc z sobą ludzki dobytek, całe chaty, skoszone zboże, niszcząc mosty i tory kolejowe, zatapiając ludzi i żywy inwentarz. Straty spowodowane tą klęską idą w setki miljonów złotych. Nic też dziwnego, że w całym kraju potworzyły się samorzutnie lokalne Komitety obywatelskie dla niesienia pomocy ofiarom powodzi przy wydatnej pomocy członków rządu i władz państwowych. Prócz tego do kierowania akcją ratowniczą i zasiłkową dla poszkodowanych powstał przy Prezydjum Rady Ministrów w Warszawie Ogólno Polski Komitet Pomocy Powodzianom (konto czek. w PKO Nr. 2.200). Na jego wezwanie oraz na wezwanie lokalnych Komitetów całe społeczeństwo pośpieszyło z wydatną pomocą tak, że wciągu paru dni OPKPP miał już do swojej dyspozycji prawie 10 miljonów zł. — niezależnie od specjalnych

kredytów, uchwalonych przez Radę Ministrów, na pomoc dla powodzian i na naprawę dróg i mostów — i zaraz przystąpił do akcji zasiłkowej i ratowniczej. Ofiary wpływają nadal i to bardzo intensywnie.

Nie zwracamy się w tej sprawie do naszych czytelników, gdyż wiemy zgóry, że w miarę sił i środków wszyscy już swój obowiązek społeczny i obywatelski spełnili.

Na wieść o klęsce powodzi, wystąpił również i episkopat watykański z odezwą do katolików, aby składali datki i ofiary na powodzian i współpracowali z komitetami pomocy. Ale ponieważ u katolików nic dziać się nie może bez „intencji" nadprzyrodzonej i religijnego celu, odezwa biskupia wysunęła jako „intencję" zbiórki... rok jubileuszowy.

> **W roku jubileuszowym nie moglibyśmy zewnętrznym czynem lepiej wyrazić Zbawicielowi swego hołdu i wdzięczności, jak śpiesząc z pomocą tym, którzy przez swą niedolę stali nam się w szczególniejszy sposób bliźnimi.**

Ale jak dotąd wszystko naogół jest w porządku, a raczej byłoby w porządku, gdyby nie następny ustęp, który dosłownie brzmi tak:

> **Szczególną składkę na powodzian zarządzamy we wszystkich kościołach na niedzielę dn. 5 sierpnia. Zapowie ją i przygotuje duchowieństwo parafjalne i zakonne. W imię Chrystusa Odkupiciela wszyscy złożymy w ten dzień swą jałmużnę jubileuszową na nieszczęśliwych braci. Rządcy kościołów odeślą te ofiary zaraz do właściwej Kurji biskupiej (podkr. n.).**

Przedewszystkiem mamy tu rozbicie akcji zbiórkowej, bo wielu katolików nie da przed 5 sierpnia ani grosza na powodzian, a powtóre z uwagi na charakter „jubileuszowy" tej zbiórki jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy „nieszczęśliwi bracia" otrzymają wszystko co do grosza, co na nich zostało złożone księdzu na tacę kościelną. Przyznajemy, że owi pośrednicy zbiórkowi: kurje piskupie, dają nam wiele do myślenia, zwłaszcza, że jest to rok... „jubileuszowy".

Rok „jubileuszowy" t. zw. odkupienia został—jak wiemy — przedłużony przez papieża na rok i „posłany na prowincję" nie poco innego, jeno poto, aby i kler prowincjonalny (poza Rzymem) mógł uczestniczyć w jego dochodowości. Aby zaś ta dochodowość jubileuszowa w Polsce wypadła jak najlepiej, biskupi, jako mistrze w wyciąganiu z ludzi pieniędzy, postanowili skorzystać z popularnej i żywo odczutej przez wszystkich „intencji" powodziowej i nakazali duchowieństwu parafjalnemu i zakonnemu przygotować odpowiednio kieszenie wiernych. Przyczem wezwanie: „wszyscy złożymy" należy rozumieć: „wszyscy — prócz organizatorów".

W ten sposób potwierdzi się jeszcze raz codziennie potwierdzana zasada, że nie było jeszcze na świecie takiego nieszczęścia ludzkiego, na którymby kler nie zarobił.

Jeśli nasze przypuszczenia są niesłuszne, żądamy w imię interesu dotkniętych powodzią, aby w każdym kościele w dn. 5 sierpnia byli obecni przy tej „szczególnej zbiórce na powodzian" przedstawiciele lokalnych Komitetów i aby cała zebrana tego dnia „jałmużna" (ohydne, ubliżające słowo!) była im wydana za pokwitowaniem na rzecz OPKPP lub aby ci przedstawiciele stwierdzili protokularnie, ile w którym kościele zebrano tego dnia pieniędzy na powodzian, zanim te pieniądze zostaną „odesłane zaraz do właściwej kurji biskupiej". Odpisy tych protokułów powinny być przesłane do OPKPP.

W przeciwnym razie opinja niezależna w Polsce będzie w prawie utrzymywać, że kurje biskupie wzięły sobie samowolnie z tej „jałmużny" odpowiednią prowizję tytułem „jubileuszowego" inkasa.

Żaden bowiem normalny i uczciwy człowiek, nigdy nie zrozumie, po co „właściwym kurjom" te pieniądze. Chyba nie po to, aby je tylko obejrzały? Wprawdzie dogmatów kościelnych też zrozumieć nie można, ale operacje pieniężne dogmatem nie są. A następnie, poco to specjalne przygotowywanie parafjan przez duchowieństwo świeckie i zakonne do owej „szczególnej składki"? czy to spowiedź wielkanocna? czy to rekolekcje zamknięte? czy to obłóczyny zakonne? Przecież i bez tego wszystkiego bogobojny a zubożały chłop polski dałby na braci powodzian tyle, na ile go stać w obecnej chwili robienia czterech zapałek z jednej i nieużywania całemi miesiącami cukru i soli. Pieniądze na powodzian powinny być oddane powodzianom, a nie kurjom biskupim, gdzie niewiadomo, co się z niemi stanie. A może ma się to nazywać, że to kościół dał tyle a tyle na powodzian?

Domagamy się nietylko kontroli obywatelskiej nad zapowiedzianą na dzień 5 sierpnia „szczególną zbiórką na powodzian" po kościołach, ale wogóle ujawnienia wszelkich dochodów kościelnych. Jeżeli kościoły nie chcą składać dobrowolnie rachunków ze swoich dóbr i dochodów, jak to czynią wszyscy lojalni obywatele państwa przed władzami skarbowemi, to znaczy, że się tej jawności... boją. A jeżeli się boją, to już wiemy, co o tych eksploatatorach ciemnoty i nędzy polskiej myśleć.

Na światło z kościelnym kapitalistą! Niech wskaże, na co zużywa te krocie miljonów zł. wyduszanych z nędzy polskiego chłopa i robotnika, i ile coroku wywozi miljonów z Polski do swojej „ojczyzny" w Watykanie. Żądamy wkroczenia kontrolerów państwowych na Jasną Górę, na Kalwarję Zebrzydowską, do Niepokalanowa, na wszystkie odpusty i kongresy eucharystyczne i sekwestru dochodu brutto na budowę szkół.

Nadszedł bowiem czas, aby i tą sprawą zainteresowały się czynniki miarodajne, robiące tyle trudności paszportowych

nąjlojalniejszym swoim obywatelom, chcącym udać się zagranicę, — trudności, podyktowanych całkiem zrozumiałą troską o równowagę bilansu płatniczego.

Z drugiej strony czas już, aby i pp. w infułach zrozumieli, że pieniądze publiczne wymagają publicznego wyliczenia się z nich. Dość już tego grzebania się wyświęcanych naciągaczy i nygusów żyjących z ołtarza, w pieniądzach publicznych — bez kontroli!..

*W. R.*

# Diderot

**Spowodu 150-tej rocznicy śmierci**

Wiek XVIII wyzwolił umysł ludzki. Religja, nauki przyrodnicze, społeczeństwo, ustrój państwowy — wszystko poddane zostało najbardziej nieubłaganej krytyce. Wszystko musiało usprawiedliwić swe istnienie przed sądem rozumu albo wyrzec się istnienia. Myślący rozum stał się jedyną miarą wszystkiego, jak powiada Engels.

Okres przygotowawczy przed Wielką Rewolucją Francuską był okresem rozkwitu myśli wolnej; wysunął się wówczas szereg wybitnych filozofów materjalistów: Helwecjusz, Holbach, La Mettrie, Diderot. Ci właśnie zdecydowani ateusze i głosiciele filozofji materjalistycznej — wbrew interesom mieszczańskim—prowadzili zaciętą walkę z religją, widząc w niej zbiorowisko przesądów, które ludzkość miała do zawdzięczenia swej własnej głupocie i oszukaństwu kleru i proroków.

Ten nowy duch ogniskował się w wielkiem dziele zbiorowem, zwanem — Encyklopedją, która w znacznym stopniu utorowała drogę nadchodzącej rewolucji francuskiej. Dzieło to (1751—73) miało nader doniosłe znaczenie, nietylko dlatego, że usiłowało ogarnąć całą wiedzę ludzką i traktowało historję, nauki przyrodnicze, matematykę, sztukę i literaturę—bezstronnie, lecz także dlatego, że około niego skupiał się cały opozycyjny i wolnomyślny świat umysłowy Francji, ułatwiający w urabianiu ideologji rewolucyjnej.

Redakcja Encyklopedji składała się z takich ludzi, jak Wolter, Russo, Holbach, d'Alembert, Lamarck. Dlatego też nazwę encyklopedystów stosuje się często do tych wszystkich, którzy byli wyznawcami poglądów zawartych w Wielkiej Encyklopedji Francuskiej.

Ale w tej olbrzymiej pracy przedewszystkiem wyróżnił się Djonizy Diderot, jeden z najpopularniejszych i najśmielszych przewodników francuskiego ruchu umysłowego XVIII wieku, filozof, przyrodnik, dramaturg. Ćwierć wieku poświęcił Encyklopedji, mimo surowości rządu i gróźb kleru.

Z prawdziwą wytrwałością, wbrew wszelkim przeszkodom, doprowadził do końca — to olbrzymie dzieło. Jego rozległa wiedza ogarniająca niemal wszystkie działy nauki, olbrzymia pracowitość i osobiste zalety charakteru, ujawniły się w całej rozciągłości, gdyż nietylko napisał cały szereg artykułów filozoficznych, lecz również wyszło z pod pióra jego wiele prac o rzemiosłach, przemyśle fabrycznym, opartych na grun ownych studjach naukowych.

Fryderyk Albert Lange w swem dziele „Historja filozofji materjalistycznej" skreślił ręką znawcy przedmiotu te słowa: „...żadna epoka nie przedstawiałaby nam równie bogatego materjału, jak druga połowa XVIII wieku, i żaden kraj w obrazie naszym nie zająłby więcej miejsca, od Francji. Tu przedewszystkiem występuje Diderot. Pisarz ten, pełen ognia i dowcipu, tak często mianowany głową i przywódcą materjalistów, nietylko przeszedł przez długą drogę rozwoju, zanim dotarł do stanowiska, które rzeczywiście nazwać można materjalizmem, ale nawet do ostatniej chwili pozostał w stanie fermentacji, niepozwalającej mu dojść do wykończenia i wyjaśnienia przekonań. Tę szlachetną naturę, jednoczącą w sobie wszystkie cnoty i błędy idealisty, a przedewszystkiem gorliwość o szczęście człowieka, gotową do poświęceń, przyjaźń i niewzruszoną wiarę w dobro, piękno, prawdę i udoskonalenie świata, prąd czasu, gwałtem pchnął ku materjalizmowi".

Diderot przed ukazaniem się książki La Mattriego „Człowiek maszyna" nie był jeszcze materjalistą; materjalizm jego rozwinął się dopiero w obcowaniu z Holbachem i d'Alembertem. Siłą jego sławy była przedewszystkiem Encyklopedja, która stała się, rzecz jasna, propagatorką ateizmu i materjalizmu. I z tej racji encyklopedystów ścigały nieraz sądy, ale często ujmowali się za nimi wpływowi przedstawiciele szlachty. W sferach arystokratycznych interesowano się nowemi myślami i czytywano chętnie dzieła ich siewców. Zresztą były to czasy tak zwanego despotyzmu oświeconego. Monarchowie nieraz opiekowali się filozofami. Fryderyk II, król pruski, zaprzyjaźnił się z Wolterem i La Mettriem, przed śmiercią zaś poznał Mirabeau i Lafayette'a.

Diderot miał „przyjemność" utrzymywać przyjazne stosunki z Katarzyną II. „Wczasie kilkumiesięcznego pobytu jego w Petersburgu, Katarzyna II dużo i chętnie rozmawiała z Diderotem; skarży się jedynie, w liście do pani Geoffrin, iż „uda ma zupełnie obolałe i czarne od sińców" nabitych jej przez filozofa, równie bezceremonjalnego w obejściu jak żywego w gestykulacji; w końcu jednak, zniecierpliwiona nieco jego teorjami, rzekła: „Panie Diderot, wysłuchałam z prawdziwą przyjemnością wszystkiego, co panu dyktuje jego swietny umysł; ale, we wszystkich swoich planach reform, zapomina pan o różnicy naszej obustronnej pozycji: pan pracujesz jeno na papierze, równym i gładkim, który zniesie wszystko; pod-

czas gdy ja, biedna cesarzowa, pracuję na skórze ludzkiej, materjale trochę bardziej drażliwym i łaskotliwym [1]).

Diderot był naturą prawdziwie entuzjastyczną i rewolucyjną. Urodził się 5 października 1713 r. w Langres w Szampanji, jako syn majstra nożowniczego. Początkowo uczył się u jezuitów, następnie studjował w Paryżu filozofję, matematykę i fizykę. Na życie musiał zarabiać pracami literackiemi. Ciężkim trudem zdobył sławę. Był znakomitym znawcą sztuki i właściwym twórcą krytyki malarskiej; dał początek nowoczesnej powieści, dramatowi i krytyce teatralnej; wreszcie wyświetlił wiele zagadnień z zakresu filozofji przyrody (pojęcie ewolucji). Już w r. 1754, w swej filozofji biologji, pyta między innemi: „Czyż z gatunkami nie dzieje się to samo, co z osobnikami roślinnymi i zwierzęcymi, które, że tak powiemy, mają swój początek, rosną, trwają, starzeją się i giną? Należy zaznaczyć, że dzięki jemu Jan Lamarck, znakomity poprzednik Darwina, napisał cztery tomy do Encyklopedji jego, gdzie podał szczegółowy opis wszystkich znanych podówczas roślin.

Diderot napisał mnóstwo djalogów filozoficznych, fragmentów, powiastek, zaliczonych dziś do arcydzieł literatury francuskiej, które ukazały się w druku dopiero w długi czas po jego śmierci. W tłumaczeniu na język polski mamy: Boya-Żeleńskiego „Kubuś fatalista i jego pan" i „To nie bajka...", oraz L. Staffa „Kuzynek mistrza Rameau".

Ale kierunek filozoficzny Diderota opierał się na materjaliźmie i ateiźmie. Rozpoczął on walkę swoją z kościołem pod znakiem sceptycyzmu. Lecz Holbach silną wolą i jasną, spokojną, jak powiada Fr. A. Lange, wytrwałością przykuł genjalniejszego towarzysza do swej drogi i pozyskał dla swej idei. Rzeczywiście, znaczna część „Systematu natury" wypłynęła z pod pióra Diderota, który dostarczył Holbachowi podstawy do tego, co jest najważniejsze w tym dziele, nazwanem Biblją materjalizmu.

Diderot, już jako pisarz ateistyczny, widząc w lochach uwięzionych i słysząc ich skargi i wołania, pisze: „Jakie zbrodnie popełnili ci nieszczęśliwi? Kto ich skazał na te męki? Bóg, którego obrazili. Cóż to za bóg? Bóg pełen dobroci. Jakto, bogu pełnemu dobroci przyjemność sprawia kąpanie się we łzach? Są ludzie, o których nie można rzec, że boga się boją, lecz, że mają przed nim bojaźń. Według obrazu, w jakim przedstawiają mi najwyższą istotę, jej skłonność do gniewu, surowość w zemście, wielką liczbę tych, którym ona ginąć pozwala, w porównaniu z małą tych, którym rękę pomocy podać raczy, najsprawiedliwsza dusza musi pragnąć, ażeby ta istota nie istniała".

Według Diderota życie i duch przyrody są wieczne. Nigdy nie bywają one wytworami lub wynikami samych tylko

---

[1]). Boy. Studja i Szkice z literatury francuskiej. Kraków, 1920, str. 245.

spraw mechanicznych. Zarodki ich od początku już są dane i idzie tylko o to, czy zachodzą niezbędne warunki rozwoju. Przejście z postaci potencjalnej w aktualną zachodzi zawsze, ilekroć organizm pokarm swój przerabia w krew i nerwy. Tę myśl rozwija szczegółowo Diderot w „Marzeniu sennem d'Alemberta" i w „Rozmowie d'Alemberta z Diderotem". Utwory te należą do klasycznych dzieł filozoficznych. Więcej jeszcze niż talent pisarski wysławiają współcześni jego porywającą wymowę.

Karol Rozenkranz, filozof niemiecki, jeden z najznakomitszych uczniów Hegla, w swem dziele o Diderocie pisze: „W Diderocie, jak w Sokratesie, było coś demonicznego. Był on sobą, gdy, jak Sokrates, wzniół się do idei prawdy, dobra i piękna. W tem uniesieniu, które uwidoczniło się w nim nawet zewnętrznie i które zaraz poznawał po ruchu włosów na środku czoła i po przebiegającym wszystkie jego członki dreszczu — był on dopiero prawdziwym Diderotem, którego upajająca wymowa, jak wymowa Sokratesa, porywała słuchaczów".

Zmarł dnia 30 lipca 1784 roku na posterunku, jako filozof materjalizmu i bojownik Myśli Wolnej.

*W. Poniecki*

# Obrzydliwy typ hitleryzmu w sosie żydowskim

**czyli rasista — Roman Brandstaetter**

Muszę ten wizerunek rozpocząć zdaleka — od wieści żałobnej, która słusznie wstrząsnęła swiatem sjonistycznym. Umarł w tych dniach wielki wieszcz hebrajski, Bialik, przybyły z Palestyny — niestety! nazbyt późno — na operację w klinice wiedeńskiej, pod opiekę aryjskich, czy bodaj raczej asymilowanych żydowskich lekarzy. Ta podróż przedśmiertna poety hebrajskiego po ratunek do Wiednia z Jerozolimy, posiadającej własny uniwersytet — chyba z kliniką chirurgiczną, sławiącego przy otwarciu tego uniwersytetu „wyższość kultury własnych rąk, własnych instrumentów, własnego materjału, pod własnem imieniem" — może stanowi kawałek ironji w życiu tego człowieka, pokryty jednak żałobnym całunem wobec niepowodzenia operacji europejskiej, jakkolwiek duma rasowa zbyt późno sięgnęła o pomoc do niej. Ale mniejsza o to...

Faktem jest, że Bialik był poetą wielkiej miary, że żal po nim odradzającego się narodu żydowskiego jest całkowicie usprawiedliwiony. Mniejsza o to, że sjonistom wydaje się, iż z jego zejściem ze świata znikł z widowni życia poeta o takiej mocy genjuszu, jak Goethe, Szekspir, Dante, Mickie-

wicz i t. d. Ba! może on dla nich być sobie tem wszystkiem razem, gdyż nieświadomość, lub pycha narodowa — zwłaszcza w chwili żałoby — nie posiadają właściwych miar. Zresztą niewątpliwie rozpoczyna on dla nich erę nowoczesnej poezji hebrajskiej, jak np. Kochanowski otwiera źródła kastalskie poezji polskiej.

Dla nas, patrzących zboku, a może zgóry, objektywnie, jest godnym podziwu ten samorodek, który wskrzesza w formach umarłej mowy liturgicznej hebreów poetyckie dziedzictwo dawnych prororoków Izraela, pora się z ubóstwem jej słownictwa, właściwego czasom Biblji — toć Biblja posiada 8000 wyrazów, gdy np. w angielszczyźnie Szekspira jest ich 16000, t. j. ilość podwójna, zwalcza naiwną prostotę składni, właściwą wszystkim prastarym semickim językom, wiążącym zdania, będące względem siebie w najróżnorodniejszych stosunkach (przyczynowym, warunkowym i t. p.) przez jednakie spójniki (zazwyczaj: „i" — por. Biblję) usiłuje nasycić ją nową częstokroć całkiem świecką treścią, a przedewszystkiem budzi podupadłą okrutnie w dwutysiącletniem ghetto godność narodu, który w ciągu stuleci stał się — podług trafnego orzeczenia Heinego — „mumją narodów, handlującą wekslami i staremi spodniami".

Zdumiewającem jest, że syn karczmarza z Wołynia, na oryginalnych drogach swego rozwoju — poprzez jednostronną kulturę ghetta, poprzez cheder i bethamidrasz, obijany, jak sam świadczy o tem w autobiografji, przez bezlitosnych mełamedów, karcących byle wybryk dzieciństwa (wlezienie na słup telegraficzny, lub ślizganie się na lodzie!), oraz przez zazdrosnych krewniaków, mszczących się zadawaniem mu razów rózgami, iż przewyższał zdolnościami i wiedzą talmudyczną ich synków — potrafił przecie pracą duszy własnej tak urość, iż znalazł się na szlakach swoich poprzedników hebrajskich w rodzaju Jehudy-ben-Halevy i Gabirola, oraz proroków: Izajasza, Jeremjasza i Ezechiela. Że nie oderwał się nigdy w pełni od środowiska tej pedagogiki, że przywarł miłośnie do tej jedynie kultury — to już leżało w konieczności zamknięcia, w którem przebywał zamłodu, skazany na czerpanie jedynie ze źródeł hebrajskiej bogobojności i zawsze, nawet w niedowiarstwie, zmąconej dziedzicznemi przesądami pół-oświaty (haskali). Miał przed sobą zamknięte wszystkie inne drogi — a o ile wybiegał myślą dalej po za swoją dziedziczną, było to już jego osobistą zasługą.

Nie przeszkodziło mu to w jego „karjerze" — jeżeli wolno wyrazić się tak o polotach jego ducha — że semickim językom, jak to zauważyli Renan i Radliński, badacze hebrajszczyzny i języka asyryjskiego, braknie, w przeciwieństwie z greczyzną, pojęć oderwanych, a stąd zdolności do ścisłej argumentacji i badania filozoficznego — bo przecież był tylko poetą. Tem łacniej korzystał z zastępowania w tych językach pojęć abstrakcyjnych — konkretami i metaforami, a przez to

podniósł się w obrazowaniu nader wysoko, ponad wzory literatury rodzimej.

Z naszego punktu widzenia jest on poetą jednostronnym — treścią jego poezji jest stały krzyk bólu z powodu poniżenia Izraela i krzyk rozpaczy, iż swoim lwim zewem nie może przerobić odrazu plemienia cichych faktorów np. na krwawych rycerzy Jozuego, lub fanatyków miecza Judy Machabeusza (pretensja nieco dziwna!), ale to pewna, że w tym jednym tonie osiągnął stopień najwyższej potęgi. Czy zresztą nie są jednostronnymi prorocy Izraela, czy nie tchną straszliwą monotonją uwielbienia Jehowy psalmy Dawida? Tu oczywiście są też granice talentu hebrajskiego wieszcza nowej epoki; — tylko ograniczoność światopoglądu nacjonalistycznego, kierującego sądami nowego Sjonu, może stawiać Bialika narówni z takim bogaczem ducha, poetą i uczonym, jak Goethe, lub z Mickiewiczem, który rozporządza tylu różnemi tonami i barwami liryki i eposu, przechodząc od „Dziadów" do „Ksiąg Pielgrzymstwa" i „Pana Tadeusza".

A tu jeszcze jedno zastrzeżenie: wielbiciele poezji Bialika, jako dziedzica lutni proroków, nie domyślają się wcale, że przy możliwem zestawieniu Mickiewicza z Izajaszem, — Słowackiego z Jeremiaszem, — Krasińskiego z Ezechjelem — wszyscy trzej mistrze poezji polskiej przewyższyli swoje wiekopomne wzory, jak traktor amerykański przewyższył pług pierwotny, acz pługowi przystoi wyższość historyczna, a stąd nazawsze należy mu się hołd i wdzięczność, jak każdemu najtrudniejszemu, pierwszemu krokowi w dziedzinie wynalazczej twórczości ludzkiej. O ile więc Bialik zbliża się do swoich pierwowzorów — zmniejsza się jego wielkość; rośnie tam, gdzie staje się oryginalnym i przerasta je nowocześniejszą myślą.

Słusznie więc sławę stworzył sobie Bialik najlepszym swoim poematem — „Miastem pogromu", utworem, napisanym po rzezi Kiszyniowskiej i bodaj nigdy nie prześcigniętym już przezeń, częstokroć powtarzanym już tylko w motywach osłabionych i mniej śmiałych, gdyż ton pierwotny naraziłby jego popularność śród swoich. W „Mieście pogromu" [1]) przemawia wprawdzie Bialik nadal w charakterze proroków Izraela, a więc imieniem Jehowy — (prorocy nie ośmielali się nigdy mówić od siebie), — ale Jehowa Bialika ma nagłe jasnowidzenie: oto nakazuje powiedzieć pogromionym, oplutym, po-

[1]) „Miasto pogromu" zostało świetnie przełożone na język rosyjski przez Żabotyńskiego, znanego rewizjonistę, który dziś walczy o „państwowość dla Palestyny", a niedawno jeszcze upomniał się u caratu rosyjskiego o zdławienie wolności polaków nawet w tak skromnej mierze, że radził Dumie „nie dawać polakom autonomji, aby nie zniszczyć korytarza pomiędzy żydami Litwy i Kongresówki!" Istnieje też dobry przekład tej pieśni na język polski — pióra S. Hirszhorna. Szkoda jednak, że tłumacz zadał sobie trud ujęcia go w rymy, których niema w oryginale, co z konieczności pociągnęło za sobą niewłaściwość w tonie i treści niektórych ustępów.

ranionym ofiarom rzezi, aby zaprzestali jękliwych skarg przed jego tronem i zbędnych modłów, albowiem on sam, Jehowa, stał się nędzarzem — i nie jest w stanie im pomóc! Tak wieszcz wzywa swój lud do mężnej samoobrony zamiast tchórzliwej pokory, nadto wydrwiwa tych swoich współwyznawców, którzy wobec nieszczęścia żon swoich, zniewolonych przez chuliganów, stawiają pytania swoim rabinom, czy te ich towarzyszki życia, uległe gwałtom, mogą być nadal ich towarzyszkami, czy obcowanie z niemi nie kazi ich świętości.

Te dwa szyderstwa, krwawe i bolesne, stanowią ton nowożytny na lirze hebrajskiej Bialika, oczywiście jeszcze o sto mil odległy od „Bluźnierstw" Richepina, bo też i poziom kulturalny zuchwałego poety francuskiego jest bez porównania wyższy.

Nie będziemy jednak dziwili się temu, że „wieszcz i wódz narodu",—jak nazywa „Opinja" żydowska Chaima Nachmana Bialika w numerze, specjalnie poświęconym jego pamięci—nie rozwinął szerzej swoich skrzydeł, że zastygł w jednym potężnym okrzyku, lub w dwóch: bólu poniżenia i woli mocy — że potężny we wzlocie, znał tylko jeden kierunek, że nie był dość bogatym w treść, aby wyrosnąć na miarę europejską ponad poziom potrzeby własnego ludu. Warunkiem potęgi jego jedynej struny było bodaj to, iż nie mógł myśleć szerzej, inaczej, różnostronniej. Ilustracją wężyzny jego horyzontu — najdobitniejszą, są te dwa jego zdania, które zaczerpniemy z podanej przez „Opinję" jego mowy, wygłoszonej na uroczystości otwarcia uniwersytetu hebrajskiego w Jerozolimie 1 kwietnia 1925 roku. Oba wyglądają na Prima Aprilis, a są jego najgłębszem przekonaniem.

Pierwsze brzmi: „pojęcie nauki (Tory) wzrosło w oczach narodu do nieosiągalnych wyżyn". Tutaj Bialik dziedziczy ten okrutny przesąd swego narodu, że „Tora", czyli Biblja jest równoznaczna z nauką, z prawdziwą wiedzą. Zachłysłując się uczuciem triumfu z powodu tej wiedzy objawionej, dodaje, w myśl Izraela, że „bez niej (Tory) świat istnieć nie może i nie ma racji bytu". Jeżeli pod temi auspicjami miałby kwitnąć — podług myśli Bialika — uniwersytet hebrajski, to nie rokujemy mu powodzenia; nie powinien dopuścić w swoje progi teorji Kopernika i Darwina w zgodzie z logicznem w tej mierze papiestwem i „nauką" kleru.

Drugie zdanie jest również owocem z drzewa starego „wybraństwa Izraela". Powtarza Bialik to niebotyczne głupstwo, które za jednym zamachem niszczy całą kulturę Egiptu, Grecji, Rzymu — jest jednem z najpotworniejszych kłamstw jakiemi klerykalizm katolicki spętał w średniowieczu na długie stulecia duszę aryjską pod wpływami przesądów biblijno-semickich: „Oni to (żydzi) położyli w końcu fundamenty pod całą religijną i etyczną kulturę świata". Jest to i gruba naiwność i całkowita ignorancja, jeżeli chodzi o dzieje kultury, o znajomość innych religij, o charakterystyczny rozwój naro-

dów europejskich pod wpływem fanatyzmu wschodniego (etyka inkwizycji!), a wreszcie i ten fałszywy współdźwięk w ustach nowoczesnego, rzekomo myślącego po świecku, żyda: rzekomy hołd dla Jezusa — nazewnątrz, jako pośrednika judaizmu dla pogan i wewnętrzne odżegnywanie się odeń, jako od heretyka i odszczepieńca żydowskiego.

*

Ale wszystko to dozwolonem jest wielkiemu poecie, synowi karczmarza, wychowanemu tylko na księgach hebrajskich i nie mogącemu z natury własnej i swego otoczenia wyjrzeć po za swój wąski widnokrąg.

Natomiast trudno jest wybaczyć ten ciasny światopogląd i wszystkie wykrętasy i fanaberje, dokonywane już w jego imię samodzielnie, pisującemu po polsku, niedużemu poecie i współpracownikowi „Opinji“ p. Romanowi Brandstaetterowi. Zdaje się, mieszka on w Krakowie, czy w Wilnie, ale często zjeżdża na kilka dni do Warszawy, aby tu własnoręcznie złożyć redakcji żydowsko-polskiego dziennika płody swego ducha. Bo-ć chyba tylko temi rozjazdami tłumaczy się fakt, że ten urodzony na ziemi polskiej „wieszcz żydowski“, mający już siebie za Bialika — tylko naskutek wypadkowego „nieszczęścia“, że nie potrafi jeszcze pisać po żydowsku i po hebrajsku, — rozpowiada w żałobnym wierszu na część Bialika o „ziemi swego pielgrzymstwa“.

Ten nieszczęśliwiec nie po raz pierwszy łka, że zmuszony jest (a któż, do licha, zmusza go do tego?) pisać swoje wierszowane elukubracje „w mowie obcej, gorzkiej“ — polskiej. Tym miłośnikiem Sjonu w „gorzkiej polszczyźnie“ dawno powinna się zająć prasa polska. Ale nie czyni tego nawet endecka — bo oczywiście rudemu buldogowi, Nowaczyńskiemu, przyjemniej jest kąsać spodnie nieoglądającego się nań autora „Poniatowskiego“ i „Łukasińskiego“ — Szymona Askenazego, i wietrzyć w nim wroga polskości, niźli ujadać w ślad takiego mocarza, zbrojnego w kij „Opinji“, jak imć pan Roman Brandstaetter. Tedy temu ostatniemu, korzystającemu z przywileju nietykalności — ukrytemu w gąszczach samouwielbienia i pychy narodowej, przemalowanego na ton świecki wybrańska — wolno bez niczyich zgoła skarceń to odkrywać, że Mickiewicz jest tego rodzaju wieszczem polskim, jakiego zgoła żaden polak nie jest w stanie zrozumieć: „Mickiewicza tylko żyd zrozumieć potrafi“ (czytaj: tylko Brandstaetter!), to znowu wypowiada się urągliwie o jedynym polskim przekładzie „Pieśni o Mieście pogromu“ Bialika, (Hirszhorna), jako chybionym, ponieważ „wpada w tony pani Konopnickiej“ — gdyż dla tego Brandstaetterka Konopnicka, największa z poetek świata, jest tylko jakąś sobie piosenkarką, niedorastającą do kolan Bialikowi, a nie autorką potężnych strof „Galileusza“, „Mojżesza“ i „Balcera“.

Panem Brandstaetterem — powiadam — dawno zająć się należało; i to właśnie pod kątem widzenia wolnomyśli-

cielskim. Albowiem rośnie w nim, całkowicie bezkarny, typowy okaz dzisiejszego hitleryzmu na biegunie przeciwnym — rasizmu żydowskiego. Oczywiście niema on na stwierdzenie „słuszności“ swoich zasad — zbrojnych pazurów, rewolwerów i karabinów, ale ideologję posiada jednaką z Hitlerami, Goeringami i Goebbelsami, a pazurkami w słowach stara się drapać, ile i gdzie tylko może. Tak, jak tamci, przekonani są, iż istnieje czysta rasa germańska i że ta stoi na szczycie stworzenia, tak Brandstaetterek jest głęboko przekonany o tem, że żydzi są „najczystszą“ rasą na świecie (ci właśnie czyści z g h e t t a małomiasteczkowego, z Franciszkańskiej, Nalewek i Smoczej) oraz stanowią koronę stworzenia. Napozór ogromnie wyzwolony z przesądów religijnych, odrzucający przecież pana boga, Jehowę, w dalszym ciągu daje wyraz „wybrańastwu“ rasy Izraela, ogłaszając, iż Biblja (bez Jehowy) jest „najwspanialszą księgą świata“—ciekawi jesteśmy, jak wyglądałaby Biblja, gdyby wszędzie pozacierać w niej imię Pana nad Pany, Boga, Jehowy! Oblizuje się lubieżnie, ilekroć w swoich poezjach przypomni sobie „ciepłą krew obrzezania“ (wieszcz mohelów), lub użyje jakiejś hebrajskiej nazwy obrzędowej: tfilim“, czy „tałes“ — taką jest jego świecka „kultura“ nowożytno-sjonistyczna. Nie przeczymy, że p. Brandstaetter posiada pewien talencik poetycki. Ale zabił go sam swoją jednostronnością, sprzężoną u niego z jakimś fałszem dwoistości duchowej. Bo z jednej strony, wybiegając ustawicznie tęsknotami myśli do swojej „ziemi rodzinnej“, do „swoich palm i cedrów“, których nigdy nie widział, z drugiej strony — bodaj gwoli popularności na miejscu — kokietuje swojem umiłowaniem „obcych“ topoli i piasków nadwiślańskich. Ten ostatni sentyment zmienia jednak barwy w miarę, jak popularność ta ze strony miejscowych endeków staje się coraz niedostępniejszą, lub przemijającą, jak np. ze strony kapryśnego Zygmunta Wasilewskiego, a owe „drzewiny polskie“ stają się coraz „bardziej obcemi“. To też w wierszach do zmarłego Bialika wierzby na Wołyniu stają się już „wierzbami kalekiemi“, jak język polski stał się już całkiem dla poety „gorzkim“. Tedy sentymenty Brandstaettera dla Mickiewicza, który jest dlań tylko potomkiem „frankistów“ — (nic przecie samemu Jakubowi Frankowi, który przyjął katolicyzm, przebaczonem nie zostaje, a Klaczkę zwalnia się za jego chrzest od ostatecznego „chajrem“ brandstaetterowskiego tylko dlatego, że pisał w dzieciństwie ody hebrajskie) — te sentymenty brzmią ckliwym fałszem, gdyż niepojętem jest zgoła, dlaczego pan Brandstaetter nie nauczy się porządnie po hebrajsku, lub jidyszowsku i nie wyjeżdża do ziemi ojców swoich tak niby umiłowanej Palestyny, a woli leżeć na piaskach nadwiślańskich pod „kalekiemi wierzbami“ i zarabiać spore złote polskie w „Opinji“. Widocznie jest mu tutaj wygodniej rozpinać po sycącym kuglu i faszerowanym szczupaku kamizelkę na tłustym brzuszku (jest dostatecznie utuczo-

ny), chłostać batutą swoją młodociane talenty ze szkoły sjońsko-polskiej poezji, za której duchowego przywódcę siebie uważa, rozdzierać szaty z powodu rzekomo psujących tekst żydowski oryginału Opatoszu wybornych przekładów Wagmana — jakby wczorajszy „żargon" już stanowił arcydzieło wykwintu i logicznej gramatyczności, albo wyrzekać, iż „arcydzieła" Asza „jedynie" dlatego nie trafiają do gustów publiczności polskiej, że ich „cymes" zepsuty jest przez złą polszczyznę, a wreszcie swojej szkole poetów, biorącej odeń nieraz chłostę, dawać mistrzowskie wzory, jaką być winna poezja polsko-sjońska.

Recepta wielkiej poezji „golusowej" (wygnania), sądząc z utworów p. Brandstaettera, jest bardzo prosta: pisze się „buk", lub „wierzba" i lamentuje się zaraz, że to nie „cedr" i nie „palma" (przy pisaniu zjada się grape-fruity t. j. pomarańczo-cytryny z Jaffy, jako ideał kultury żołądka żydowskiego, tęskniącego za ziemią ojców); albo bierze się taką polską topolę i zawiesza się na niej rzemykami „tfilim", albo wreszcie rozkłada się tałes z cycesami na piasku nadwiślańskim — i wszystko to koi okrutną tęsknotę za ścianą płaczu w Jeruzalem i wprawia poetę, a może i jego czytelników, w nastrój roskosznej melancholji. Oczywiście, należy to jeszcze ozdobić rymami, a jeszcze lepiej — bylejakiemi asonansami, które wiążą dźwiękowo: „cedry" i „wydry", „palmy" i „czarny", „psalmy" i „płacz utulny" — aby tylko nie „psalmy" i „palmy", bo to zbyt łatwe i już niegodne poety polskiego w sosie sjonistycznym i stanowi „tref".

Nadymającemu się jak ezopowa żaba, dyrygującemu na Parnasie „Opinji" żydowskiej, p. Br. posyłamy na gorącą głowę tę strugę zimnej wody, należną mu już dawno, — dziś z okazji jego wiersza, poświęconego Bialikowi. Nie umniejszamy wcale wartości moralnej dzielnych c h a l u c ó w, którzy dają wyraz szczeremu umiłowaniu ziemi praojców, wyjeżdżając do Palestyny, poświęcając się tam ciężkiej pracy na roli, podobnie jak umiemy oddać sprawiedliwy hołd tym poważnym i uczciwym pracownikom, którzy dają wyraz prawdzie swoich przekonań i tęsknot, dźwigając wysiłkiem swoim kulturę Palestyny, europeizując jej brudne i zapadłe wsi miasteczka, dźwigając Tel-Awiw. Ale razi nas i drażni, irytuje niepomiernie, ten podwójny fałsz poezji à la Brandstaetter, w której na cedrach zawiesza się wianeczki nadwiślańskich boginek, a na wierzbach koszule śmiertelne i magluje się nieustannie bohaterów Jerycha przy dźwiękach krakowiaka miejscowego, a szczupaki z nad Wisły faszeruje się etyką kazirodnych córek biblijnego Lota, jako ekstraktem kultury żydowskiej, nad której czystością czuwa p. Br., już żądający (dla siebie) roli cenzora żydowskiego w Polsce, nakładającego cherem na wydawców przekładów z „idyszu", o ile nie zwrócą się do niego po zezwolenie.

Wybuch nasz zawdzięcza p. Br., odgrywający rolę „Żabo-

tyńskiego w poezji" swojemu ostatniemu wierszowi nad trumną Bialika — o ile to była trumna, a nie narodowe tragi z czarną płachtą, rzuconą na zwłoki, ubrane w cudackie gacie po śmierci. Bo i cóż powiada tu poeta nieodpowiedzialnej „Opinji" zmarłemu wieszczowi? Rozpacza, że mówi do niego „w obcej mowie, gorzkiej, polskiej, jaką mówili chłopi w jego karczmie ojcowskiej", że śle mu słowa „rzeźbione z kory nadwiślańskiej" (?) Będą one brzmiały zmarłemu „zimno", „puste, jak złote próchno śród boru". A niechże, do stu djabłów, uspokoi się p. Brandstaetter, bo przecież, choćby rzeźbił swoje puste słowa „z kory cedrów" i pisał je na liściach palm, a wydeklamował nawet przez radjo do Palestyny, dokąd prochy wieszcza będą przewiezione, — to i tak umarły ich nie dosłyszy. Napróżno tedy spodziewa się p. Brandstaetter, że może wiersz jego przypomni zmarłemu „matkę, schyloną nad ciastem", które miesi „patrząc na gwiazdę ranną" (nie Betleemską — uchowaj Jehowa!) i „jego ojca, skulonego nad brudnym szynkwasem", a wtedy wiersze Brandstaettera pono „spadną na martwe oczy" Bialika, jak „zimne płótno talesu". Są one zimne, sztuczne, wyrachowane i nie przypomną zmarłemu, mimo wszelkich wysiłków „polskiego (z przymusu) wieszcza", jego „wierzb kalekich" z Wołynia, ani kalekich wierszydeł z „talesowej" Warszawy.

Jesteśmy dalecy od swawolnych wierszyków Szobera, którego „Jóżo Grojseszyk" wspomina z rozrzewnieniem „pape, co miał pejsy duże na pisk" i „moje mame", która „w ciężkiej biedzie, gnąć kark, sprzedawała sobie śledzie na targ" — nie urągamy nędzy i ciężkiemu losowi Chawy Rubin, ale stanowczo mamy już za wiele tej nowoczesnej manji wzoru brandstaetterowskiego, która rozwiesza w galerji antenatów wspaniałe oblicza spajających chłopstwo wódką karczmarzy, a z handlarek robi księżne Hohenlohe i margrabiny Pompadour! Nie należy aż tak bardzo idealizować przeszłości i swoich przodków, panie Brandstaetter! Zaklinam pana na „ciepłą krew obrzezania", porzuć pan tę brzydką manierę! Wszakże sam Bialik w swojej biografji powiada ze smętkiem, że jego ojciec wstydził się swego zajęcia i, nalewając znudzoną ręką wódkę chłopstwu, miał oczy utkwione w księgę talmudyczną „Misznajot", którą „zawsze studjował".

Wysłuchaj Pan tej „gorzkiej" mowy mojej — polskiej.

Nie!.. on nie posłucha! On jest ojcem i dziadkiem tej rasy poetów, która stare wybraństwo Izraela przerobi na nowe, szczycące się już nie Mojżeszami, wiodącymi lud swój do Ziemi obiecanej, ale karczmarzami, sprzedającymi za lichwiarskie ceny truciznę alkoholu zbydlęconemu przez samowolę pańską chłopstwu, aby dzielić zyski z dzierżawy ze swoimi „szlachcicami" — bo ci antenaci pod wodzą rabinów, pilnujących koszerowania mięsa, zapewnili byt całym pokoleniom poetów, uważających język polski za „gorzką mowę obcą",

a żargon niemiecki za jeden z dwóch swoich własnych rodzimych języków, i tęskniących do Palestyny... tylko na papierze!

*

Tu uwaga, w której tkwi szczypta tragizmu dziejowego. Jest pewien gatunek ludzki, który wmówił sobie i swiatu, że „Biblja jest święta, ponieważ sam bóg ją Mojżeszowi podyktował". Dzisiaj świeckie pokolenie z tegoż gatunku odrzuca boga, ale każe nam nadal wierzyć, że „Biblja jest świętą, ponieważ lud boży ją napisał". Lud boży bez boga— co to znaczy? „Opinja" drukuje wiersz Bialika, w którym ten poeta, wierzący w „boskość Biblji — opowiada legendę o „umarłych w pustyni", którzy zerwą się ze snu, dorwą się do szabel i mieczy (w liczbie „sześciuset"), którzy „kopną boga, że zadrży na tronie", „wejdą bez boga (do Ziemi obiecanej?) — a równocześnie w tymże nr. 28 bałwochwalczy zachwyt dla Bialika wypisuje, że „wraz ze śmiercią Bialika słowo boże ustało na ziemi!". „Kopnięty" bóg zleciał z tronu, ale w Bialiku przebywało „Słowo boże!"... I ustało... z jego śmiercią!..

Podobno pan Brandstaetter obraził się na „Opinję" za to ostatnie zdanie; rzekł do kolegów: „Jakto?... zapomnieliście, że ja jeszcze jestem?"

*Leo Belmont*

# Badania mitów

(CIĄG DALSZY)

Ale jest pewna kategorja ludzi, która jest tak dalece zżyta z teraźniejszością, że przeszłych wieków wogóle nie jest wstanie zrozumieć. Oto np. mały przykład z książeczki o „Proletarjacie w świetle proroków i Mickiewicza 40 i 4" z r. 1933: Werset z biblji „w boleściach rodzić będziesz" znaczy, że wąż — czyli burżuazja uniemożliwi idei, aby ona bez boleści mogła nowe, dobre życie zrodzić. Wąż oznacza fałszywego inteligenta zepsutego, wroga demokratycznej prawdy boga i demokracji. Werset z Jeremiasza XXXI 22 o tem, że „niewiasta ogarnie męża" znaczy, że idea uszlachetni politykę i nią pokieruje".

Ale anachronizmów pełne są także wyjaśnienia różnych teologów, którzy w opowieści biblijne powkładali różne pojęcia i rzekome przewidywania rzeczy lub ludzi, o których autorzy owych ksiąg oddaleni od nich o dobre kilka wieków zupełnie przewidywać nie mogli.

A jeśli taki bezkrytyczny umysł, nie mający żadnego wyczucia ducha przeszłych wieków odszuka jakiś szczegół na

pozór podobny między faktem z epoki dzisiejszej, a epoką dawną zaraz z namaszczeniem głosi o „intuicji", o „genialnej intuicji" starożytnych w tej sprawie, gdzie wogóle o żadnej intuicji mowy nie było, tylko zazwyczaj o pewnem spostrzeżeniu poczynionem w całkiem innych warunkach i środowisku i w zastosowaniu do innych rzeczy lub osób.

Wszystkie te szkoły położyły niemałe zasługi w dziedzinie wyjaśnienia wielu mitów. Ale wszystkie te usiłowania przypominały kroczenie po omacku w korytarzach, czy pokojach, gdzie z powodu mroków pewnym krokiem kroczyć nie można było, albo możnaby to porównać z badaniem chemika, który chcąc zbadać skład chemiczny pewnego związku robi szereg doświadczeń, z których wiele daje wyniki ujemne, lub zaledwie częściowo zbliżające do prawdy, aby tylko trafić w sedno.

Można dziś śmiało powiedzieć, że żaden z tych czynników, wyłącznie stosowany, wyników dobrych nie da. Byłoby to tylko w tym wypadku możliwe, gdyby umysłowość i troski człowieka obracały się dokoła jednego i tylko jednego zagadnienia. Ale dość przyjrzeć się życiu społeczeństw i na ich tle życiu jednostek, żeby zauważyć, że takiego jednego czynnika niema i być nie może. Dlatego także zarzucić należy próby tłumaczenia wszystkiego, czyto Słońcem, Księżycem, czy rolnictwem, gwiazdami, wulkanizmem, lub wpływem autorytetu społeczeństwa, a wreszcie spekulacjami filozoficznemi. Nie było, niema i tembardziej w przyszłosci jednego czynnika nie będzie. Wniosek więc z tego, że jedyną dobrą szkołą mitogenetyczną jest szkoła synkretystyczna, która uwzględnia wszystkie owe wyżej podane czynniki wpływające na uczuciowość i umysłowość ludzkości w różnych jej fazach rozwoju. Czasem wprawdzie przeważa jeden czynnik nad innym, ale zwykle tak bywa, że obok przemożnego wpływu jednego czynnika, znajdujemy jeszcze inne, może niekiedy zepchnięte na dalszy plan, przysłonięte, niemniej jednak istniejące. Czasem znowu w pewnych ośrodkach skutkiem zaniskiego stopnia rozwoju nie dochodzi do rozwoju pewnej kategorji mitów lub zaledwie do ich zawiązku. W innych znowu kulturalnych ośrodkach rozwija się skutkiem szczególnych warunków wybitnie inny rodzaj mitów. Dlatego przy wszelkiego tego rodzaju badaniach koniecznie uwzględnić należy także warunki socjologiczno-kulturalne, bez czego badanie będzie opisem i może zejść do roli zwykłego opisu mitu, czyli tego coby można nazwać mitografją, nie zaś mitologją, której celem jest wyszukiwanie logiki mitów i jej genetyki, czyli powstania. „Różnice jakie spotykamy w urządzeniach ludów pierwotnych muszą być wynikiem nietylko samego stopnia rozwoju, ale i otoczenia w jakiem się ono znajduje" (Malinowski, Wierzenia pier., 19),

Nic dziwnego, że można znaleźć ludzi, którzy wobec tych trudności w badaniu mitów wolą zrezygnować z badania ich powstania i ograniczyć się tylko do ich opisu, lub tekstowego ustalenia przekazanej tradycji w formie najpierwotniejszej i najczystszej.

Nie brak także takich, którzy traktują mit ze stanowiska czysto estetycznego. Do nich należą malarze, rysownicy, poeci, rzeźbiarze. Mitologja tak pojęta, powstała przez skomasowanie tradycji z wielu wieków na jednej płaszczyznie, z pominięciem wszelkich odmian w tradycjach przekazanych, natomiast z podkreśleniem momentów artystycznie pięknych, oryginalnych, interesujących, zabawnych, może mieć specjalny urok, ale z nauką mitologji istotną niema ona nic wspólnego. Epoka baroku, rokoka, aż do zwycięstwa romantyzmu nad klasycyzmem szczególnie się w tak pojętej mitologji lubowała.

Używanie aluzji do bogów było pewną manierą mówienia wytwornego. Jeżeli np. wspomniano o uczuciach miłosnych, to niezbędnem było ubranie tego w wątki o Wenerze i Amorze lub czemś podobnem.

W obecnej epoce, choć dalekiem jest już takie wyłącznie estetyczne pojmowanie mitologji, to jednak przydałaby się i ta znajomość, gdyż przeważnie nawet i takiej brak, a mogłaby ona posłużyć za przedszkole do studjów poważniejszych.

W szkołach mitologja jest wykładana tylko okolicznościowo przy historji, łacinie, literaturze, niekiedy bardzo niedbale i mimochodem. Nic więc dziwnego, że można spotkać absolwentów szkół średnich, którzy nie znają nawet głównych bogów świata grecko-rzymskiego, pominąwszy już bogów krajów innych. O mitogenetyce niema wogóle mowy.

Przechodząc od tych wskazań metodycznych do próby wydobycia z metod różnych dotychczasowych szkoł tego, co było w nich dobrem i powiązania tego w całość, sądzę, że należałoby ułożyć pewien schemat genetycznego rozwoju myśli mitotwórczej od jej pierwocin, aż do epok najbardziej kulturalnie posuniętych, z pominięciem różnych odchyleń zależnie od środowisk kulturalnych i różnych z niemi związanych niedorozwinięć mitów.

Schematowi takiemu nie będzie odpowiadała rzeczywistość. Nigdzie go nie znajdujemy doskonale zrealizowanym. Będzie to coś w rodzaju doskonałych figur geometrycznych, które istnieją tylko w naszej wyobraźni, a wszystko, co im w świecie realnym odpowiada zbliża się tylko mniej lub więcej do ich doskonałego kształtu.

Stworzenie takiego, zresztą prowizorycznego schematu idealnego służyć nam może raczej do celów dydaktycznych, do zorjentowania się w genezie i na jakim stopniu rozwoju pomieścić należy pewne ważniejsze mity, a zarazem czego w badaniu szukać należy. Przypominać to będzie schemat idących po sobie formacyj geologicznych, stworzony przez geologów, z czego wcale nie wynika, by wszędzie i na każdym punkcie globu wszystkie owe formacje następowały po sobie w takiej idealnej kolejności i pełni, jak zostały one ułożone w schemacie geologów.

A więc najstarszą taką formacją będzie preanimizm, czyli kult emocjonalnie raczej wyczuwanej, niźli intelektualnie wyrozumowanej siły naprzyrodzonej, bez określonego kształtu, nieosobowej [1]). Gdziekolwiek człowiek pierwotny wykonywa ceremonje religijne lub magiczne, tam zawsze i wszędzie można znaleźć wiarę w jakąś tajemniczą, nieosobową, a bardzo mglistą właściwość, czy siłę. Praktyki religijne polegają na zdobywaniu i zatrzymywaniu jej sobie. Ona jest przyczyną wszystkich skutków przekraczających poglądy człowieka pierwotnego o regularnym biegu przyrody. Znajduje się ona w istotach duchowych, w duszy człowieka żyjącego, w duchach ludzi zmarłych, jest ona połączona z nimi, z ich imionami i z różnymi przedmiotami należącymi do nich, jak kamienie, węże i t. p. Ona to staje się podstawą wierzeń religijnych, ktore R. R. Moret nawet nazywa preanimizmem.

Dalszą w rozwoju posuniętą formacją będzie animizm z jego dążnością dopatrywania się w różnych przedmiotach przyrody żywej i martwej specjalnych istot. Owa ogólna moc z epoki preanimistycznej została zamknięta w pewnych obrębach realnych.

Powstanie psychologiczne religijnych zjawisk rozpoczyna się na pograniczu życia uczuciowego i intelektualnego.

Zarzucano teorji animistycznej Tylora (Br. Malinowski, Wierzenia pierw., 125) przypisywanie wyłącznej roli refleksji rozumowej tłumaczenia dość skomplikowanych zagadnień. Wydaje się wątpliwe, aby człowiek pierwotny miał czas i ochotę na stawianie sobie filozoficznych zagadnień i na spokojne ich rozważanie i rozwiązywanie, co raczej odpowiada rozważaniom uczonego przy biurku, niźli psychologji ludzi pierwotnych. Nie można się zgodzić na animistyczną teorję Tylora, tłumaczącą wiarę w duchy, czyli animizm, wynikiem czysto intelektualnych funkcji umysłowych. Człowiek, a zwłaszcza pierwotny i żyjący w ciągłym ogniu walki o byt, nie może być i nie jest istotą rozumną i rozumującą, żyje on głównie życiem emocjonalnem i czynnem, wśród ciągłych wzruszeń i namiętności i te czynniki kształtują całe jego postępowanie, nie zaś filozoficzna refleksja. Dopiero po długim procesie zjawia się w końcu refleksja i logika. — Ale choć chodzi u człowieka pierwotnego więcej o emocje niźli, o rozumowanie, to jednak nie trudno nam, patrząc na postępowanie czyjeś pod wpływem emocji, doszukać się tam ich logiki. Nie tylko bowiem myśli, ale i wzruszenia podlegają pewnej przyczynowości, bez względu, czy się ją w słowach określa, czy też się tego nie robi. Człowiek uciekający przed szczekającym psem, czyni to powodowany emocją. Może tego nawet nie wypowiadać. Ale nam, którzy na to patrzymy, nie trudno podłożyć pod ten odruch pewne logiczne rozumowanie: „on przypuszcza, że go pies ugryzie; żeby tego uniknąć, ucieka". I nie będzie w tem błędu.

---

[1]) Opracowane według „Wierzeń pierwotnych" Br. Malinowskiego.

Totemizm będzie upatrywaniem owych wyższych mocy w zwierzętach jako istotach na łonie przyrody doskonalszych i potężniejszych od człowieka, jak również w roślinach lub przedmiotach martwych; obok tego rozwija się fetyszyzm, czyli kult pewnych przedmiotów czczonych jako wcielenie pewnego ducha, który przechodzi na fetysz niejako zzewnątrz, może go również opuszczać.

Bóstwa totemistyczne zwierzęce występowały albo w formie wyłącznie zwierzęcej lub zwierzęco-ludzkiej (ślady w kultach egipskich) lub wreszcie zostały niekiedy oddzielone od bogów występujących wyłącznie w postaci ludzkiej jako zwierzęta im „poświecone" (świat klasyczny) i totemizm jest to zbiór wierzeń określających stosunek człowieka do otaczającej go przyrody, wierzeń, odnoszących się do zwierząt, roślin i przedmiotów martwych. Jest zbiorem bardzo różnorodnych pierwiastów. W skład jego wchodzą zakazy odnoszące się do życia płciowego i małżeństwa, wierzenia religijne, przepisy co do jedzenia, nazwy grup społecznych, tradycje o powstaniu i pochodzeniu klanu, normy prawno-zwyczajowe, wytwory pierwotnej sztuki plastycznej i formy pokrewieństwa (17 — 18).

Sam wyraz totemizm pochodzi od wyrazu totem, pierwotnie prawdopodobnie dodem albo ododem, co w narzeczu indjan Ameryki północnej z plemienia Odżibwejów oznacza zwierzę, z którem społeczeństwo podzielone na szereg grup stoi w szczególnie bliskim stosunku.

Zwierzę to jest zarazem godłem tej grupy społecznej, wyrazem pewnej solidarności między członkami tej grupy i obowiązków jej członków (Br. Malinowski, Wierzenia pierwotne, 2). Zwierząt totemicznych bądźto nie wolno dotykać, jeść, bądźto to znowu, w innych wypadkach, spotykamy się z nakazem jedzenia ich. Człowiek stara się wywierać swój wpływ nad totemem dla jego dobra, lub na jego zgubę.

Zwierzęta znacznie silniej działają na wyobraźnię człowieka i n a znacznie szerszą skalę wzbudzają stany uczuciowe człowieka.

Walka zaczepna i odporna z przyrodą martwą i roślinną odbywa się na znacznie dalszy dystans, gdy z zwierzętami starcie odbywa się oko w oko. Stąd czynniki uczuciowe występować będą najsilniej w stosunku do zwierząt. Zwierzęta przedstawiają się człowiekowi pierwotnemu jako coś mniej więcej tożsamego z nim; niema zasadniczej różnicy między ludźmi, a zwierzętami. Pierwotni ludzie i zwierzęta żyli zgodnie ze sobą, zczasem dopiero człowiek wywołał nieprzyjaźń zwierząt przeciw sobie swem nieprzyjaznem postępowaniem względem nich. Odtąd żyją osobno, ale różnica między niemi, a ludźmi leży jedynie w stopniu rozwoju. Zwierzęta podobnie jak ludzie są zorganizowane w plemiona, mają swych wodzów, swoje domy i miasta, miejsca zabaw i swoją „krainę cieni".

Psychologja polowania i rybołówstwa przedstawia szerszą skalę możliwości uczuciowych, niż czynności rolnicze. Wszystko to otacza zwierzęta w umyśle człowieka pierwotnego aureolą nadrzyrodzoności. Te własności przyrodzone zwierząt urastają w umyśle człowieka pierwotnego do nadprzyrodzonych. Stąd ubóstwienie zwierząt dzikich, silnych i drapieżnych. Na uczuciowym stosunku człowieka do zwierząt odbija się także współżycie człowieka z niektóremi zwierzętami.

Człowiek pierwotny wyobrażał sobie, że jedząc jakieś zwierzę, spożywa nie tyle pożywne części, ile przybiera na siłach przez to, że siły i właściwości zwierzęcia przechodzą na niego, to też z upodobaniem jedzono zwierzęta silne, szybkie, mądre, odważne. Jedzenie dlatego jest ogólnym tematem religijnym, ponieważ jest zarówno ono samo, jak i czynność je poprzedzająca połączona z całym szeregiem napięć uczuciowych. Kult religijny odnosić się będzie przedewszystkiem do zwierząt i roślin jadalnych.

Trzeba szukać źródeł pierwotnej religji w zasadniczych postaciach elementarnej walki o byt, oraz w podstawowych czynnościach filozoficznych, jak np. w zdobywaniu pokarmu i w walce ze zwierzętami, oraz w akcie odżywiania się, którego przedmiotem są zwierzęta i rośliny. Jedzenie ma charakter emocjonalny, a nadto zwierzęta są przedmiotem emocjonalnego zainteresowania jako niebezpieczny i groźny wróg człowieka, co zwłaszcza odnosi się do zwierząt silnych, dzikich, drapieżnych lub jadowitych.

Totemizm ma swoją stronę klanową, rodzinną, łączy się także z kultem przodków. W zwierzę święte, nietykalne wciela się duch przodka. Spotykamy także klany nietotemiczne w różnych częściach świata i na dość różnych stopniach rozwoju ludzkości, nigdy jednak wśród wyższych cywilizacyj.

(d. c. n.) *St. Asté*

# Z dzielnicy bojaźni bożej i dobrych obyczajów*)

W pierwszej połowie czerwca r. b. „Słowo pomorskie" i „Dziennik bydgoski", uważające się za jedynie powołane do zabierania głosu w imieniu społeczeństwa pomorskiego, urządziły wspólną nagankę na toruńskie Koło P. Z. M. W. i na mnie osobiście, poświęcając wiele miejsca mojej skromnej osobie.

Aby nie nudzić czytelnika, dam tylko próbkę tego kleroendeckiego szczucia na mnie. „Słowo pomorskie" z 3. IV. pisze:

---

*) Tytuł nasz. *Red.*

Przed niedawnym czasem poruszaliśmy na łamach naszego pisma działalność Zw. Bezbożników w Toruniu oraz na terenie całego Pomorza. Na czele tego Związku stoi znany na bruku toruńskim bezbożnik Sławomir Jeske.

Związek ten ma swoją siedzibę w centrum miasta przy ul. Szerokiej nr. 36 w mieszkaniu samego zwierzchnika bezbożników.

A teraz taki oto „chwyt“.

Ciekawi jesteśmy, skąd p. Jeske, choć od dłuższego czasu bez zajęcia, jest w stanie utrzymać komfortowe mieszkanie i opłacać wysoki czynsz, a przedewszystkiem utrzymywać cały aparat propagandowy bezbożnictwa na Pomorzu.

W jego też mieszkaniu odbywają się w każdą niedzielę zebrania bezbożnicze. Kiedy w kościołach katolickich odprawia się nabożeństwa, bezbożnicy urządzają swoje bluźniercze zebranie (nie wiedziałem że czas od 10—12 w niedziele należy tylko do kleru, uw. m.). Liczba biorących udział waha się od 20—30 osób. Zauważono, iż na zebrania schodzą się nawet ludzie inteligentni (dobre jest to „nawet“; jest to właściwie obraza całej inteligencji, uw. m.).

Organizacja narazie działa w ukryciu i stara się wpierw zapuścić zgniliznę moralną w słabsze jednostki, (chyba w najsilniejsze? uw. m.), by następnie rozwinąć szerszą propagandę. Wykłady o bezbożnictwie wygłasza p. Jeske, a odbywają się one w jednym z pokoi jego mieszkania, odpowiednio na ten cel przystosowanym. Na ścianach umieszczono napisy ateistyczne, np. „Precz z religją“, „Religja to opjum!“ i t. p.

W wykładach p. Jeske propaguje bezwyznaniowość, przeprowadzenie zupełnego rozdziału między państwem i kościołem, szkolnictwo bez lekcyj religji i t. d. Bezbożnik nie przebiera w wyrazach, lży i wyszydza wiarę katolicką, co zresztą już ilustruje napisy na ścianach (w zacytowanych napisach niema mowy o [illegible]rze katolickiej“, uw. m.).

Kto tak postępuje, szerzy zgniliznę moralną, bluźni przeciwko Bogu i dopuszcza się przestępstwa przeciw uczuciom religijnym, podpada pod postanowienia art. 173 k. k., który na bluźnierców nakłada karę do 3 lat więzienia (kwalifikacja przestępstwa — gotowa, aby prokuratura nie potrzebowała się fatygować, uw. m.).

Czas skończyć z tą zgnilizną moralną! Apelujemy do katolickiego serca właściciela domu, aby nie pozwalał na urządzanie sali zebrań dla bezbożników w jego nieruchomości (presja!)

Nie wątpimy też, że władze prokuratorskie zajmą się działalnością p. Jeskego i nie pozwolą na szerzenie niemoralności i bezbożnictwa.

„Dziennik bydgoski“ zaś w dziesięć dni później, zasekundował swemu komilitonowi toruńskiemu następującym artykulikiem pod soczystym tytułem: „Wytępić gangrenę zawczasu!“

> W Toruniu przy ul. Szerokiej 36 w mieszkaniu niejakiego Sławomira Jeskego mieści się siedziba bezbożników. Jeske jest kierownikiem tej rozkładowej pod względem moralnym organizacji (raczej przeciwnie; uw. Red.).
>
> Ów propagator bezbożnictwa jest bezrobotnym, a pomimo to mieszka w komfortowem mieszkaniu przy głównej ulicy grodu Kopernika (Kopernik zarumienił się w tem miejscu z oburzenia, ale nie na ob. J., uw. Red.).
>
> Działalność bezbożników wydała już zatrute (bynajmniej nie zatrute, uw. Red.) owoce. Oto pod wpływem należenia do tej organizacji zgłosili miejscowemu sądowi swe wystąpienie z kościoła katolickiego:

Tu następuje szereg nazwisk osób, które wystąpiły z kościoła. Dla „ewentualnego" użytku akcji katolickiej podano ich adresy. Następnie „podrzucono" mi, że tak się wyrażę, prowokacyjnie „nielegalne" nazwisko jakiegoś człowieka, którego bliżej nie znam, a mającego odsiadywać karę za działalność komunistyczną [1]). Zrobiono to po to, aby przekonać władze prokuratorskie i policyjne, do których oba pisma apelują, że w mojem mieszkaniu znajduje się w komplecie „Komintern", czy też „Sownarkom" polski, że tylko go brać. Oczywiście, razem ze mną. Ale to znana łajdacka metoda tych panów, na której znają się dobrze przedewszystkiem władze prokuratorskie.

A dalej mamy takie charakterystyczne wynurzenie:

> Jest wprost rzeczą nie do pomyślenia (wierzący o wielu rzeczach nie są wstanie pomyśleć, uw. Red.), aby w katolickim Toruniu mogła istnieć i rozwijać swoją szatańską (straszne! ale ostatecznie niech będzie szatańską, uw. Red.) agitację organizacja bezbożnicza. Władze policyjne winny wkroczyć w tę sprawę i zainteresować się, skąd kierownik bezbożników, który jest bezrobotnym, czerpie pieniądze na tą zbrodniczą akcję.
>
> Bezbożnictwo należy nietylko tępić, ale wypalić z korzeniami! (Ho, b[illegible].ed.).
>
> Cały katolicki Toruń domaga się od władz państwowych, aby zlikwidowały w zarodku tę gangrenę, toczącą i rozsadzającą społeczeństwo chrześcijańskie.

Właściwie powinienem być wdzięczny obu pomorskim bogobojnym organom za bezpłatną reklamę, która tylko przysporzyła członków tutejszemu Kołu P. Z. M. W., ale ze względu na to, że artykuły te zabardzo cuchną „prawdą katolicką", zdążającą świadomie do odarcia kogoś ze czci ludzkiej w imię czci boskiej, zdecydowałem się zabrać głos.

Pod artykułami nikt nie jest podpisany, a są one jawną prowokacją, obliczoną na odruch katolicki. Znając tutejsze stosunki, mam prawo przypuszczać, że inspiratorem całej tej kompanji przeciwko mnie jest nieznany mi prowokator.

Każdy, znając mnie bliżej, mój stan majątkowy i tryb życia, jaki prowadzę, zrozumie, że dzieje mi się krzywda. Nor-

[1]) Jak nas informują, był to mąż zaufania policji. *Red.*

malnie w takich wypadkach skarży się do sądu krzywdziciela. Ale droga ta jest dla mnie niedostępna, bo nie mam... na obrońcę. Zresztą, co za satysfakcja uzyskać wyrok skazujący jakiegoś łotra, który niema pojęcia o tem, co to jest praca ideowa, a za swoje oszczercze, niepodpisane wypociny bierze pieniądze.

Jedyna droga, jaka mi pozostała, to oddać pod sąd opinji publicznej redakcje obu pism za krzywdę, jaką mi wyrządziły — i owego tchórza, który nie miał odwagi podpisać się pod swemi artykułami, wymierzonemi we mnie.

Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, że, zwalczając innych, muszę być również przygotowany na to, że i strona przeciwna ma prawo mnie zwalczać. Ale bez prowokacji, bez strzałów z za węgła, bez insynuacji, bez nikczemnych, niedozwolonych „chwytów".

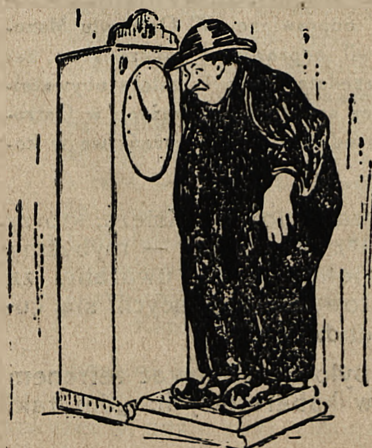
Zdrajców i prowokatorów nazywa się przenośnie „judaszami". Ale ewangieliczny Judasz stał pod względem etycznym o wiele wyżej od judaszów z klerykalnych pisemek, bo tamten, poruszony wyrzutami sumienia, powiesił się, a ci są— bez sumień. To stuprocentowi nikczemnicy, wyhodowani na łonie etyki kościelnej.

Mówi sie w jednej z legend o Judaszu, że Chrystus zczasem zwycięży Judasza. Gdyby się to stało, nie ostałby się wówczas nawet otwór w drzwiach więziennych, zwany „judaszem". Ale na to wcale się nie zanosi. Atmosfera podłości, jaką wychował ustrój kapitalistyczny, oparty o kościół, sprawia, że na rynkach sprzedają fałszowane masło, a w kościołach głoszą fałszowane prawdy. Dlatego wszystko inne jest „gangreną" i „zgnilizną", które „nietylko należy tępić, ale wypalić z korzeniami". Jednem słowem: „ausrotten!"

Ale od tego my właśnie jesteśmy, aby nie truto ludzkich sumień kłamstwami, a organizmów fałszowanemi pokarmami.

*Sławomir Jeske*

---



Znów straciłem 15 kilo... Jedyny powód, to zapewne te występowania z kościoła

# Kronika

## „DOBRODZIEJE"

W n-rze 22 W. P. zamieściliśmy wzmiankę o demagogicznym, niewątpliwie nakazanym z góry, „pięknym geście" ks. Lorka, który wspaniałomyślnie zrzekł się należnego mu (bez ograniczenia!) prawa stuły za nabożeństwo żałobne za ministra Pierackiego. Tak było w Warszawie. Nie wiemy, jak było w Nowym Sączu. Ponieważ nie było komunikatu KAPry w tej sprawie, należy przypuszczać, że wzięli i to dobrze wzięli. I nie dziwota: nie codzień w N. Sączu chowają ministra. Na prowincji zaś bywało rozmaicie. A jak było? mówi nam między innemi następująca depesza z Białegostoku, zamieszczona w „Kurjerze porannym" z dn. 21.VI.

**Społeczeństwo tutejsze poruszone zostało stanowiskiem niektórych księży katolickich, odmawiających odprawiania nabożeństw za duszę ś. p. min. Pierackiego, motywując to brakiem dyrektyw z kurji metropolitalnej lub też żądających opłat za odprawienie nabożeństw. W Indurze miejscowy proboszcz ks. Kunicki odmówił prośbie przedstawicieli miejscowego społeczeństwa odprawienia nabożeństwa rzekomo spowodu braku dyrektyw z kurji metropolitalnej. Gdy parafjanie wobec takiej postawy prosili o odprawienie zwykłej mszy żałobnej, odrzekł, że za min. Pierackiego modli się już cała Polska, on zaś ma zamówioną mszę za jedną ze zmarłych parafjanek. Oburzona ludność udała się do miejscowej cerkwi, gdzie było nabożeństwo dla prawosławnych, które odbyło się niezwykle uroczyście i okazale. W miejscowości Krynki ks. Szyroki zażądał za odprawienie nabożeństwa zł. 15, motywując to brakiem innych dyrektyw z kurji metropolitalnej. Po otrzymaniu pieniędzy nabożeństwo odprawił. W Grodnie wikarjusz miejscowy Krzemieniewski w porozumieniu z ks. prałatem Olszańskim zgodził się odprawić nabożeństwo, ale tylko za opłatą zł. 50. Starosta grodzieński polecił magistratowi wyasygnować żądaną kwotę. Po wpłaceniu tej sumy nabożeństwo zostało odprawione. W Ostrowiu Mazowieckim miejscowy proboszcz odmówił odprawienia nabożeństwa, zasłaniając się brakiem dyrektyw. Przedstawiciele komitetu obywatelskiego zwrócili się wtedy do dowódcy szkoły podchorążych w Ostrowiu Mazowieckim, który zezwolił na odprawienie nabożeństwa w kościele garnizonowym.**

Depeszę tę „Kurjer poranny" zatytułował: „Księża, którzy chyba nie są polskimi obywatelami". Co do nas — mybyśmy się tak nie zapytali, bo księży katolickich nie uważamy za obywateli polskich, lecz za renegatów, wysługujących się cudzoziemcom za misę tłustych prebend.

Depeszę tę raczej należało było zatytułować refrenem z jednego z najnowszych przebojów kabaretowych: „Już taki jestem zimny dr.."

## Z RUMUNJI

W Mołdawji doszło niedawno do rozruchów na tle religijnem. Oto policja chciała aresztować popa, należącego do założonej niedawno sekty ortodoksów, wywodzących się z góry Atos, na co ludność nie pozwoliła. Doszło do obustronnej strzelaniny, podczas której kilka osób zostało zabitych, a kilkanaście lżej lub ciężej rannych. Ofiar będzie jeszcze więcej, gdyż wszystkim opornym grozi kara śmierci. Prześladowanie ortodoksów środkami policyjnemi zainicjowali popi cerkwi prawosławnej, mszcząc się na ortodoksach za zakładanie konkurencyjnych gmin wyznaniowych i za nawoływanie prawosławnych do występowania z cerkwi. A występowania te zaczęły się stawać masowemi. Ortodoksi zjednali sobie ludność tem, że znieśli opłaty za posługi religijne.

## KLER POPRZYSIĘGA ZEMSTĘ B. PREMJEROWI

Prasa doniosła, iż w końcu czerwca odbył się ślub b. premjera i b. min. wyznań i oświaty p. Janusza Jędrzejewicza z córką prof. Baudouin de Courtenay, p. dr. Cezarją Ehrenkreutzową, prof. etnologji w Warszawie.

Jak dotąd, rzecz sobie normalna. Tymczasem z prasy katolickiej dowiadujemy się, że p. Jędrzejewicz popełnił niesłychaną w katolickiej Polsce zbrodnię stanu, bo dla wzięcia tego ślubu zmienił wyznanie katolickie i dobrowolnie odpadł od społeczności żywych: nie da zapewne chrzcić dzieci w kościele katolickim i ks. Lorek nie będzie go mógł pochować za darmo lub za sumę „jak najmniejszą".

Z tej racji „Przegląd katolicki" zamieścił w nr. 26 z 1.VII następujące oświadczenie:

> **Katolickie społeczeństwo polskie przyjęło tę wiadomość z oburzeniem, gdyż p. Janusz Jędrzejewicz zajmujący doniedawna wysokie stanowisko w państwie, reformator szkolnictwa i wychowawca młodzieży — ojciec dorastających dzieci — odstąpił od Kościoła katolickiego i w swem życiu osobistem protestancki rozwód podwójny (swój i żony) uznał za dopuszczalny.**
>
> **P. Janusz Jędrzejewicz, odbywający obecnie podróż zagraniczną, gotów jeszcze pozostać na widowni politycznej. Sądzimy wszakże, że były minister wyznań i oświaty musi sam sobie zdawać sprawę z tego, iż w przyszłości trudno mu będzie w Polsce, kraju o ludności katolickiej — poświęcać się sprawom wychowania publicznego w jakiejkolwiek formie. Licząc się ze zdaniem społeczeństwa, p. Janusz Jędrzejewicz znajdzie zapewne w innej dziedzinie zastosowanie dla swych zdolności i energji.**
>
> **Każdy czyn ludzki — musi mieć swoje konsekwencje!**

Innemi słowy: niechno jeno teraz p. J. sprobuje zająć w państwie polskiem jakiekolwiek stanowisko, to my mu pokażemy, gdzie raki zimują. A już niech go ręka boska broni, aby nam wsadzał nos do oświaty, która z prawa bożego

naszą jest sprawą. Ponieważ każdy czyn ludzki, jak pisze P. K. musi mieć swoją konsekwencję, w tym lub na tamtym świecie (piekło!), ma ją i działalność p. J. na stanowisku premjera. Polski Związek Myśli Wolnej zwrócił się do niego w swoim czasie o wprowadzenie przygotowanych oddawna przepisów o świeckiej rejestracji akt stanu cywilnego w b. Kongresówce — i tego nie raczył zrobić. Ma teraz za swoje. I to właśnie od kleru, któremu nie chciał zrobić „przykrości".

## ZREALIZOWANE PROMIENIE DANA Z „RÓŻY" ŻEROMSKIEGO

77 letni Mikołaj Tesla, chorwat, znany w dziejach elektrofizyki z tego, że udało mu się otrzymać przerywane prądy elektryczne o b. wysokiem napięciu, przebiegające naprzemian to w jedną to w drugą stronę (t. zw. prądy Tesli), przedłożył konferencji rozbrojeniowej w Genewie nowy swój wynalazek. Jest to aparat elektryczny, przy pomocy którego można strącać samoloty i niszczyć całe armje z odległości setek kilometrów. Jak widzimy, najbliższa wojna światowa, do której tak prą różni międzynarodowi zbrodniarze, będzie bardzo ciekawa.

## DZIĘKI CZEMU ŚWIECIŁ SIĘ KRZYŻ

...„Na Lake Worth iskrzyły się światła jachtów, sztuczne księżyce odbijały się w wodzie, a wysoko w górze na firmamencie jaśniał krzyż kościelny...

Wiarygodna historja o oświetlonym elekrycznością krzyżu, umocowanym na wysokiej wieży-dzwonnicy kościoła (zbudowanego w stylu hiszpańskiego odrodzenia) jest następująca: Władze kościelne były zdania, że koszty tej pochłaniającej wielkie sumy reklamy, ku czci boga, ponosić powinni wierni, których los obdarzył wielkim majątkiem. Panie z towarzystwa, które kładły nacisk na nieposzlakowaną opinję, uczęszczały regularnie do kościoła. Jednak ku wielkiemu rozczarowaniu władz kościelnych uwagi o olbrzymich kosztach oświetlenia krzyża nie znalazły łaskawego ucha — sztuczne księżyce i tak pochłaniały niesłychane sumy za prąd elektryczny.

Parafja nie mogła zebrać żądanej sumy i krzyż zgasł znów w ciemnościach.

Pewnego dnia u duszpasterza zjawił się elegancki nieznajomy, poinformował się, ile wynosi miesięczna opłata za oświetlenie elektryczne krzyża, wyjął z grubo wypchanego portfelu wymienioną sumę i znikł: I znów zapłonął krzyż.

W końcu miesiąca zjawił się powtórnie i chciał dalej uiścić rachunek za elektryczność. Duszpasterz rozpływał się we wdzięczności, pragnął jednak dowiedzieć się bliższych szczegółów o nieznajonym, by móc z ambony podziękować mu za tak pobożny czyn.

Nieznajomy namyślił się chwilę i odpowiedział:

— Chętnie powiem prawdę, jestem bootlegerem (przemytnikiem alkoholu), wiadomem jest pewnie, jak kwitnące tu prowadzimy interesy podczas głównego sezonu. Oświetlony elektrycznością krzyż był wspaniałym drogowskazem podczas ciemnych nocy dla moich okrętów, szukających dogodnego miejsca lądowania.

Twarz duszpasterza spochmurniała, lecz już po chwili rysy jego wypogodziły się i powiedział:

— Doprawdy sądzę, że niewiele ludzi postępuje w myśl owych słów pisma, tak ściśle, jak pan: „Bądź łagodny jak gołąb, a szczwany jak lis".

I tak, krzyż nadal jaśnieje w ciemności".

*Marja Leitner. „Kobieta demaskuje świat". W-wa, 1934, wyd. M. Fruchtmana, str. 129 i 130.*

## ODKRYCIE DZIESIĄTEGO KSIĘŻYCA JOWISZA

Podczas fotografowania osmego księżyca Jowisza w obserwatorjum Lincka w Ameryce, dr. H. M. Jeffers odkrył dziesiąty księżyc tej planety. Ma on mieć 35 km. średnicy.

Pierwsze cztery księżyce odkrył Galileusz w styczniu 1610 r. Piąty odkrył astronom Bernard w r. 1892, szósty i siódmy dr. Perrine, dyrektor argentyńskiego obserwatorjum w latach 1904 i 1905, ósmy dr. Mellote, z obserwatorjum w Greenwich w r. 1908, dziewiąty dr. Michelson w obserwatorjum Lincka w r. 1914.

## ULTRAMONTAŃSKO-POZNAŃSKA PRZEBUDOWA SPOŁECZNA

Rada społeczna, powołana przez Hlonda z pośród socjologów katolickich, wydała ostatnio odezwę do społeczeństwa polskiego,w której podaje swoją receptę na uszczęśliwienie ludzkości (czytaj: kleru i kapitalistów). Recepta wychodzi z „zasad społecznych kościoła katolickięgo, zawartych w encyklice „Quadragessimo anno". A oto niektóre z dorad rady hlondowej:

„Przedewszystkiem wykluczyć należy wszystkie rewolucyjne i niemoralne środki, jak: socjalizacja wszystkich dóbr produkcyjnych, konfiskata majątków uczciwie nabytych (to niby jakich? może majątków kościelnych? uw. n.) i t. d. „Następnie odróżnić trzeba dziedzinę własności rolnej od przemysłowo-handlowej". Ale dlaczego? nie powiedziano. „Przebudowa życia społecznego powinna iść w kierunku nadania społeczeństwu cech „organizmu społecznego". (wg. wyrażenia Piusa XI). W tym celu trzeba pokonać panującą obecnie klasowość a wprowadzić w życie społeczne solidaryzm. Stać się to może przez zorganizowanie całego społeczeństwa

w korporacjach na podstawie zawodów i przez wyposażenie korporacyj w kompetencje zarówno w zakresie ściśle społecznych jak i gospodarczych spraw (kontrolowanie i porządkowanie produkcji, wymiany i współzawodnictwa, załatwianie konfliktów pracy, prowadzenie ubezpieczeń społecznych i td.) zawsze jednak pod opieką i nadzorem państwa. Tą drogą pokonanoby obecną anarchję życia gospodarczego, skierowując je ku jego właściwemu celowi zapomocą zorganizowanego odpowiednio społeczeństwa". Czyli prawie dosłownie tak, jak jest obecnie w Dollfussji.

## STARE DZIECIAKI

W Atlantic City w stanie New Jersey w Ameryce odbył się ślub z następującym ceremonjałem. Państwo młodzi pływali w wodzie, a pastor z łodzi udzielał im ślubu. Orszak zaś ślubny stał na molo i przyglądał się wesołej parze. Nienapróżno nazywają amerykanów staremi dzieciakami. Kto nie wierzy, niech zobaczy rycinę w IKC z 11 lipca. Ale można i tak. Skoro są tacy, którzy, aby zostać chrześcijanami, zanurzają się w wodzie — mogą być i tacy, którzy dla wzięcia ślubu na trzeźwo przed duchownym — biorą zimną kąpiel. To nawet może być zdrowo i pożytecznie.

## ZAKONNICA PRZED SĄDEM

Sąd czechosłowacki w Rimavskiej Sobocie skazał zakonnicę katolicką na 500 koron kary za podburzanie chłopców, aby nie wstępowali do „Sokoła", potępionego przez sowiet biskupów słowackich.

## WERBUNEK

Z nastaniem okresu wakacyjnego różne zakony zaczęły zapraszać do nowincjatów (zapomocą ogłoszeń w prasie) uczniów i studentów, licząc na to, że wobec kryzysu i bezrobocia wiele rodziców odda swoich synów na cudaków, aby mieli „lekki chleb". Ogłoszenia bowiem kończą się oświadczeniem: „Koszty utrzymania w nowicjacie i w czasie studjów dalszych ponosi zakon — rodzice nic nie płacą". Jest to nic innego — jeno swego rodzaju handel żywym towarem i uprawianie niewolnictwa, z tą różnicą, że w grę wchodzą chłopcy, a nie dziewczęta.

## PRZEPIS NA BUDOWĘ KATEDR I KOŚCIOŁÓW W CZASIE KRYZYSU

Bierze się darmo pusty plac, ofiarowany „komitetowi budowy" przez gminę, cegłę i wapno na weksle, architekta zbywa się byle czem i każe mu się czekać, ogłasza się werbunek bezrobotnych po okolicznych parafjach tylko za wikt

i nocleg w barakach, godzi się majstra i świątynia rośnie, jak na drożdżach, a niebo się cieszy.

W ten mniej więcej sposób biskup Adamski buduje sobie katedrę w Katowicach, drogą najwyższego jaki można sobie wyobrazić wyzysku. A wszystko to — ad maiorem dei gloriam.

Nikt inny poza klerem nie miałby czoła zaproponować bezrobotnym, aby mu zadarmo wybudowali dom i — jak powiada Anatol France — „swoją osobistą nędzą przyczynili się do ogólnego dobrobytu". Te paręset bezrobotnych, których zwerbowali księża w djecezji śląskiej dla dokończenia katedry, kler traktuje zupełnie jak bydło pociągowe, bo każe im pracować tylko za stajnię i trochę obroku. Ponieważ bezrobotni mają mimo wszystko więcej krytycyzmu, niż konie (niektórzy z nich napisali nawet paręset b. ciekawych pamiętników), werbownicy uspakajają ich buntownicze myśli czekami na niebo (bez pokrycia).

Co Ministerstwo Opieki Społecznej na to? Tu nawet Tow. Opieki nad zwierzętami miałoby też coś do powiedzenia.

# Z prasy

## Jak tu nie zwalczać kremacji!

Czytamy w *„Naszym Przeglądzie"* z 26.VI:

**„Umarł w Warszawie znany kupiec branży cukrowej b. p. Josek Kohn, właściciel kilku domów w Warszawie. Ponieważ rozeszły się pogłoski, że gmina żydowska w Warszawie zażąda od spadkobierców za grób 100 tysięcy złotych — synowie zmarłego zwrócili się do gminy w Sochaczewie, skąd zmarły pochodzi, z zapytaniem, czy gmina tamtejsza zgodziłaby się na pochowanie zwłok b. p. Joska Kohna w Sochaczewie".**

**„Synowie doszli do porozumienia z gminą w Sochaczewie, na mocy czego gmina miała otrzymać za grób 5.000 zł., ponadto 5.000 zł. mieli spadkobiercy przeznaczyć na cele dobroczynne w Sochaczewie".**

**„Gdy się o tem dowiedziano w gminie żydowskiej w Warszawie, wybuchł skandal, ponieważ jeden z synów zmarłego jest członkiem rady gminy żydowskiej w Warszawie".**

**„Zaczęły się pertraktacje przy akompanjamencie krzyków".**

**„Po długich pertraktacjach strony doszły do porozumienia. Spadkobiercy płacą za grób 10 tysięcy złotych wekslami, na których widnieją podpisy wszystkich 34-ch spadkobierców".**

## „Niepokojąca cisza..."

Może przed burzą? *„Głos Niedzielny"* jest pełen niepokoju (wogóle termin „niepokój" ze wszystkiemi odmianami gramatycznemi spotykamy teraz w prasie klerykalnej często),

że pomimo „zdemaskowania“ autorki „bezprzykładnego paszkwilu na duchowieństwo katolickie“, który duchowieństwo to samo na siebie napisało, że nazywa się ona Janina Zajchowska, a urodziła się w Baryczce w roku takim a takim, że jest kierowniczką szkoły XVII w Królewskiej Hucie, że

> poszła w swej zaciekłości antykatolickiej jeszcze dalej i w n-rze 13 „Wolnomyśliciela Polskiego“ (Warszawa) podpisała jadowitą odezwę antyklerykalną.

Pomimo wieców protestacyjnych i zużycia całych kubłów plwocin, wyrzucanych od 2-ch miesięcy w jej stronę przez gardła, przełykające codzień w mistycznej ekstazie żywego boga miłości i przebaczenia — jakoś nic z tego nie wychodzi. Stan ten „Gość niedzielny“ nazywa słusznie „niepokojącą ciszą“. A przecież — pisze ten nieproszony gość niedzielny

> spodziewaliśmy się (co za pewność siebie — uw. n.), że jeżeli stwierdzone zostało, kto jest autorką książki - paszkwilu, natychmiast zawiesi się ją w urzędowaniu. Jest bowiem niedorzeczne, niedopuszczalne i prowokacyjne, żeby zdecydowana, 100-procentowa, zaciekła bezbożniczka i wolnomyślicielka, występująca z swemi przekonaniami publicznie—była kierowniczką katolickiej szkoły powszechnej i wychowawczynią katolickich dzieci.
>
> Bezbożnictwa w żaden sposób nie da się pogodzić z obowiązkami i odpowiedzialnością kierowniczki szkoły katolickiej.
>
> Niestety, dotychczas tylko głucha, niepokojąca cisza jest odpowiedzią na nasze rewelacje. Dlatego wracamy do tej sprawy jeszcze raz i tak długo będziemy powracali do niej, aż zostanie zbadana i załatwiona ku uspokojeniu i zadowoleniu opinji katolickiej Górnego Śląska, która w rezolucjach tego stanowczo się domaga (ale czego? uw. n.).
>
> Dwom panom nie może p. Zajchowska służyć: bogu i bezbożnictwu, a ponieważ wybrała bezbożnictwo, musi opuścić szkołę katolicką!

Nareszcie i „Gość niedzielny“ znalazł cel w życiu: p. Barycką.

## Nowy dochód kleru.

Kler katolicki, ten mistrz nad mistrze w znajdywaniu pieniędzy na ulicach, po których chodzą głupcy przezeń spreparowani, wznowił piękną tradycję z przed dwóch wieków, bo sięgającą czasów saskich, kiedy to różni pobożni a zamożni grzesznicy, odbywali rekolekcje po klasztorach, wioząc ze sobą całe karawany obładowanych prowiantami wozów dla pokrzepienia duszy o. przeora i pobożnych braci, a po paru dniach wracali do domu bez grzechów i bez prowiantów, żegnani przez śmiejących się z nich w kułak wypasionych mnichów. Otóż ta piękna tradycja przekształciła się w naszych czasach w instytucję „rekolekcji zamkniętych“. Grzesznicy nie

wiozą już ze sobą prowiantów, jeno gotówkę. Przyczem klasztor przypomina w zupełności nowoczesny pensjonat. Oto w tymże „Gościu niedzielnym“, który tak arcypochrześcijańsku interesuje się losami p. Baryckiej, znajdujemy następujące ogłoszenie:

U W A G A!

**Rekolekcje zamknięte mogą odprawić:**

**w Kokoszycach**

**Mężowie — od 23 do 27 czerwca.**

**Koszty utrzymania 15 zł. Zgłoszenia przyjmuje Sekretarjat Rekolekcyjny w Katowicach, ul. Marsz. Piłsudskiego 20.**

**w Rybniku:**

**Maturzystki — od 26 do 29 czerwca w klasztorze SS. Urszulanek.**

**Koszty wynoszą 6.50 zł. Zgłoszenia należy kierować do SS. Urszulanek w Rybniku. Zabrać ze sobą bieliznę pościelową i przybory toaletowe.**

To samo w Tarnowskich Górach i gdzieindziej. A to wszystko pod hasłem: „Daj duszy swej trzy dni odpoczynku — odpraw rekolekcje zamknięte“. A nie pisze się: przywieź nam trochę gotówki.

I jeszcze jedno: maturzystki mają przywieźć z sobą bieliznę pościelową i przybory toaletowe. „Mężowie“ nawet już tego nie potrzebują.

# Odpowiedzi redakcji

*Ob. St. Sęczykowi.* Nadesłaną fotografję przesłaliśmy prof. B. Hryniewieckiemu w Warszawie.

# OD ADMINISTRACJI

**Czas odnowić prenumeratę na kwartał III-ci.**

**Kto zalega z bieżącą zapłatą winien bezzwłocznie uregulować należność.**

**Wstrzymanie zapłaty podrywa byt wydawnictwa.**

TREŚĆ POPRZEDNIEGO NUMERU:



PRENUMERATA WOLNOMYŚLICIELA POLSKIEGO:
(łącznie z „Błyskami wolnomyślicielskiemi“)

| | | |
|---|---|---|
| rocznie | zł. 20.00 | miesięcznie zł. 1.75 |
| półrocznie | „ 10.00 | numer pojedyńczy 60 gr. |
| kwartalnie | „ 5.00 | zagranicą 25 zł. rocznie |

PRENUMERATA „BŁYSKÓW“ (bez „Wolnomyśliciela Polskiego“)

| | | | |
|---|---|---|---|
| Za 1 egz. rocznie zł. | 1.20 | Za 10 egz. rocznie zł. | 9.00 |
| „ 5 „ „ „ | 5.00 | „ 10 „ półrocznie „ | 4.50 |
| „ 5 „ półrocznie | 2.50 | „ 10 „ kwartalnie „ | 2.25 |

10 egzemplarzy zagranicą zł. 14.— rocznie

Adres **Redakcji i Administracji:** Warszawa, Królewska 16, telef. 218-14.
Konto czek. P. K. O. 14.200.

Redaktor **Józef Wroński**, Wyd.: **„Wolność“ sp. z o. o.**

Druk L. Wolnicki, Długa 46.